

ROBERT HICHENS.

Bella Donna

Tłumaczenie z angielskiego Marii Starczewskiej.

TOM II.

— Hanza on czuwa na my lord, daje mu pić, przynosi mu jedzenie, podaje mu „pokarm chorego”... t. j. lekarstwo... podaje mu wszystko. A tymczasem Ibrahim, jakkolwiek zawsze dobrze płatny i dobrze traktowany, stracił ogólne poważanie i stał się w oczach ludzi „jak pies, który je byle co i śpi byle gdzie”.

Isaacson radby wiedzieć, kto odprawił Mohammeda? Został więc poinformowany, że zwykłymi upiększeniami Wschodu, że Mrs. Armine zapragnęła mieć Hanzę, „podał się jej, bo wciąż się modli”. Ostatnie zdanie podawało w wątpliwość to, co było przedtem powiedziane, lecz gdy Isaacson odprawił Hassana i siedział oparty w fotelu, widział ciągle pięknego Hanzę — pięknego, gdyż tak doskonale typowego — osłoniętego duchem Wschodu i w nim zanurzonego, cichego fanatyka z fatalistycznymi oczami.

I Hanza zawsze podawał Niglowi „pokarm chorego”.

Na wzmiankę Isaacsona o modlącym się Hanzie dziwny wyraz grozy ukazał się na twarzy Mrs. Armine. Isaacson zapamiętał to dobrze. Dlaczego modlił się Hanza napelniała ją zgrozą?

Isaacson potrzebował wypoczynku, a nie mógł go znaleźć. Ażby spać, trzeba przestać myśleć i przestać oczekiwać.

Rozmyślał o dr. Hartley.

Przyzwyczajł się w swym konsultacyjnym gabinecie odczytywać charaktery, usposobienia. Co weźmie górę w doktorze Hartley, obawa, czy też jego słabość do kobiet? Opuszczając Lonlię Isaacson był przekonany, że obawa; ale jeżeli się myli? Jeżeli Mrs. Armine użyje znów swego wpływu, a Hartley jej ulegnie i ustucha!

W takim wypadku Isaacson postanowił pójść za intuicją. Jeżeli będzie błędna, następstwa mogą się okazać dla niego bardzo nieprzyjemne... prawie katastrofalne. Odyby był w błędzie, Mrs. Armine z pewnością postarałaby się, żeby został ukarany. Ale musi zaryzykować. Nie ryzykował do tej pory, gdyż chciał wyczerpać wszystkie środki, ażeby uniknąć skandalu. Zniósł osobistą obrazę, impertynencję, nawet zniewagę, lecz jednej rzeczy nie znieś. Nie znieś tego, żeby Mrs. Armine odniosła nad nim powtórne zwycięstwo, nie znieś, żeby go wypędziła.

Jeżeli w Hartley'u weźmie górę obawa — to dobrze. W przeciwnym razie Isaacson wywoła scenę, spowoduje skandal, zwalczy nawet Nigla dla jego własnego ratunku. Czy to będzie potrzebnem?

Wkrótce będzie wiedział. Hartley obiecał wezwać go na konsylium tego jeszcze wieczoru.

— Tymczasem muszę odpocząć — mówił do siebie jak lekarz.

Zszedł na dół do swej kajuty, zamknął okiennice, położył się i zamknął oczy. Wbrew przewidywaniom prędko zasnął. Kiedy się obudził, usłyszał głosy w pobliżu. Leżał cicho i słuchał. To były gwałtowne głosy tubylców. Podniósł się, żeby wstać, wtem usłyszał pukanie do drzwi.

— Proszę — zawołał.

Hassan wsunął głowę.

— Ten pan, on tutaj!

— Jaki pan? Nie doktor Hartley?

— Chory pan.

— Nigell! Czy to było możliwe? Isaacson zerwał się i pobiegł na pokład, po którym przechadzał się Hartley. Zwrócił się szybko do Isaacsona.

— Pan przybył po mnie? — zapytał Isaacson, widząc, że słońce już zaszło.

— Odyby się... bardzo niemila... bardzo przykra scena! — odrzekł Hartley.

— Dlaczego? Z kim?

— Z nią... z Mrs. Armine. Co u licha pan jej uczynił, że jest tak panu przeciwną? To prawie... prawie nienawiść. Czy pan wyrządził jej jaką krzywdę?

— Nigdy w życiu!

— Ja... myślę doprawdy, że jest histeryczką. Zaszła w niej... ogromna zmiana.

— Zamknij i po chwili zapytał nagle:

— Czy pan wie, w jakim ona może być wieku?

— Wiem tylko, że nie ma trzydziestu ośmiu lat.

— Nie ma trzydziestu ośmiu!

— Ma więcej. Powiedziała mi kiedyś... w sposób ogólnikowy.

Hartley spojrział na niego z nagłym podejrzeniem.

— A zatem pan... państwo się dobrze znali?

— Nigdy!

— Do tej pory myślałem, że ma około trzydziestu.

— Do tej pory?

— Tak. Ona... dzisiaj ona wygląda prawie jak... no... jak kobieta w średnim wieku. Nigdy nie widziałem, żeby ktoś się tak zmienił.

Młody człowiek wydawał się być tem poważnie zaniepokojony.

— Proszę siadać, dobrze? — rzekł Isaacson.

— Dziękuję. Ja...

Podszedł do poręczy. Isaacson podążył za nim.

— Nasza rozmowa zdecydowała mnie — rzekł Hartley — wezwać pana dzisiaj. Czulem, że to potrzebne. Czulem, że jestem do tego obowiązany względem siebie samego, jako... jeśli mam się tak wyrazić... wybijający się lekarz.

— Ma pan słuszość.

— Kiedy się zbudziła, powiedziałam jej o tem. Lecz przykro mi wyznać, że nie podzielała mego zapałowania. Mieliśmy długą rozmowę. Nie była sobą. Wiedziała o tem. Powiedziała, że to moja wina... że nie powinienem był dawać jej veronalu. To pewno, że bardzo źle wyglądała. — Wie pan... — zwrócił się do Isaacsona z wyrazem lęku na twarzy... — to było tak, jakbym widział kobietę starzejącą się w oczach. A ja... myślałem... że jest zupełnie... stosunkowo... młoda.

— A wynik tej rozmowy?

— Z początku nie było tak źle. Zgodziłem się... myślałem, że to jedno było rozsądne... zacząć, aż Mr. Armine się zbudzi i przekonać się, jak się czuje. Spał jeszcze jakiś czas, a my siedzieliśmy, czekając. Ona... muszę przyznać... posiada urok.

Pomimo niepokoju i nerwowego naprężenia Isaacson ledwo mógł powstrzymać uśmiech. Widział Bella Donnę zwańczoną postanowieniem młodego człowieka różnorodną swą bronią.

— Posiada go istotnie — przyznał bez cienia ironii.

— Ah! każdy mężczyzna musi to przyznać. Ale z tem wszystkiem jest teraz ruina.

Widocznie kobiecie prawie intuicją Isaacsona nie zadość uczyniła go. Ta postarzała twarz odegrała wielką rolę w postanowieniu Hartleya.

— Biedna kobieta! — dodał. — Słowo daję, nie mogę się wstrzymać od współczucia.

— A zatem pan przybył, żeby mnie zabrać na Lonlię?

— Powiedziałem jej, że muszę to uczynić.

— Jak pan znalazł chorego, kiedy się zbudził?

— Przyznam się, że nie jestem zadowolony.

— Nie? czy gorzej wygląda?

— Doprawdy... trudno wiedzieć. Lecz powiedziałem jej, że się ma znacznie gorzej.

— Dlaczego?

— Dlaczego? Bo postanowiłem nie ponosić sam odpowiedzialności w obawie, że coś gorszego może się stać. Zaprzeczyła temu. Dowodziła, że mu jest o wiele lepiej... że jest silniejszym. Połakiwał jej, to prawda. Ale... mam wrażenie, że ona wkładała mu do ust słowa. Tak mi się przynajmniej zdawało. Mogę się mylić, ale zawsze... faktem jest, że już mam dość tego wszystkiego.

Ujął poręcz obu rękami.

— Kiedyś go opuścił, powiedziałam jej, że muszę pana wezwać. Rozgniewała się. Powiedziała, że pana nie chce, że pan był zawsze jej przeciwny, że starał się przeszkodzić jej małżeństwu z Mr. Armine, że pan ją oczernił w Londynie.

— Czy mówiła o tem w obecności męża?

— Nie. Siedzieliśmy w salonie. Przypuszczam, że służba masiała słyseć. Straciła głowę. Byłem w bardzo niemilem położeniu, ale... postanowiłem ją opanować.

— Udało się panu?

— Stałem przy swoim. Powiedziałem, że chcę i muszę usłyszeć zdanie kogoś innego.

— Kogoś innego?

— Pańskie, naturalnie. Niema tutaj nikogo. A po tem, co pan... co myśmy mówili i myśleli po południu, nie mogę czekać, żeby sprowadzić zdaleka innego lekarza.

— Wyruszymy zaraz — rzekł Isaacson.

— Tak.

Lecz powiedział to tonem wahającym i nie ruszył się z miejsca. Isaacson spojrział na niego pytająco.

— Pragnąłbym wydostać się z tego wszystkiego — rzekł młody człowiek. — Po dzisiejszej sprzeczce mam tego dość. Nigdy nie miałem tak nieprzyjemnej sceny z żadną kobietą. To czyni moje położenie bardzo trudnem. Nie mam pojęcia, jak ona nas przyjmie. Nie zgodziła się na moją propozycję i kiedyśmy się rozstali wyglądała strasznie.

— Mrs. Armine nienawidzi mnie. Bardzo mi przykro. Lecz muszę myśleć o chorym i pan również. Widzi pan, doktorze Hartley, zapomnieliśmy o naszej małej kłótni i mam nadzieję, że postanowimy dobrymi kolegami.

— Nie życzę sobie niczego lepszego — rzekł poważnie młody człowiek.

— Wróćmy na Lonlię, zobaczymy chorego i odbędziemy konsylium. A wtedy, jeżeli pan będzie trwał w zamiarze wycofania się...

— Rzeczywiście wolalbym. Zostawiłem znajomych, którzy czekają na mnie w Assnau.

— A na mnie nikt nie czeka. Przypuśćmy, że pacyent się zgodzi, a pan swego zamiaru nie zmieni, chętnie zdejmę z pana wszelką odpowiedzialność, i wezmę wszystko na siebie. A jeżeli kiedykolwiek będzie pan w Londynie...

— Może przyjadę tego lata.

— Wtedy będę mógł się panu przydać. Jedziemy? Tym razem Hartley się ruszył. Zdało się, że ciężar spadł mu z serca.

— Zresztą pan jest starszym — rzekł, kiedy siadali do czółna — a przytem przyjaciół chorego. Nie myślę, żeby to się komu wydało nienaturalne.

— Najnaturalniejsza rzecz w świecie — rzekł spokojnie Isaacson. — Dobrze Hassanie, możesz nam towarzyszyć. Wsiądź w łamio czuino. Prawdopodobnie będę ciebie potrzebował.

Obaj lekarze niewiele mówili płynąc do Lonlii. Każdy z nich był zajęty swoimi myślami. Lecz kiedy się zbliżali, Hartley zaczął się kręcić.

— Mam nadzieję, że będzie rozsądną — rzekł w końcu.

— Przypuszczam, że tak,

— Na czem pan to opiera?

— Stanowczo jest mądrą kobietą.

— Mądrą... oh, tak, jest mądrą. Była podobno znana w pewien sposób?

— Jako piękność... tak.

Isaacson powiedział to nie bardzo zachęcającym tonem i towarzyszył jego umilkł, lecz nie przestał się kręcić. Kiedy byli blisko Lonlii prawie pod niebieskim światłem, które jaśniało z wysokiego masztu, Hartley rzekł cichym tajemniczym głosem:

— Sądzę, że pan powinien wejść pierwszy, jako starszy. To będzie wyglądało naturalniej.

— Dobrze, lecz nie chcę, żeby się zdawało...

— Nie, nie! Proszę na mnie nie zważać. Rozumiem doskonale. Zaprosiłem pana na konsylium, gdyż nie jestem zadowolony z przebiegu choroby.

Feluka otarła się o bok Lonlii. Ibrahim się ukazał. Uśmiechnął się na ich widok, uśmiechnął się jeszcze radośniej, kiedy zobaczył za nimi czółno, z siedzącym w nim Hassanem. Isaacson wysiadł pierwszy, Hartley poszedł za nim bez wielkiego pośpiechu.

— Chciałbym się zobaczyć z Mrs. Armine — rzekł Isaacson do Ibrahima.

— Czy pan wie, co ten napis znaczy? — zapytał Hartleya, wskazując na motto Lonlii.

— To?... owszem. Pytałem się. To z Koranu: „Przeznaczenie każdego człowieka przywiązane u jego szyi”.

— Ah! Fatalistyczne. Czy trafiła panu do przekonania?

— Nie wiem. Nie zastanawiałem się. Ciekawym, czy ona nas przyjmie?

Ibrahim zaprowadził ich do salonu, a sam poszedł oznajmić. Isaacson usiadł na otomanie, lecz Hartley nie mógł ustać na miejscu. Obecny niepokój był w stosunku do jego dawnego uwielbienia dla Mrs. Armine.

— Sądzę... mam nadzieję, że nie zrobi nam sceny — rzekł.

— Oh, nie.

— Pan jej nie widział dzisiaj popołudniu.

— Była podniecona. Są ludzie, którzy nie znoszą dziennego snu. Miała czas przyjść do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi).